

Marek Tarnowicz

# SYLWANA



TOM I

---

# BRUDNA GRA

Marek Tarnowicz

# SYLWANA

TOM I

# BRUDNA GRA

Brama Fantazji

Projekt okładki na podstawie pomysłu autora: Robert Zajączkowski

Redakcja: Paulina Nowaczyk

Skład DTP: Joanna Bianga

Copyright © 2019 by Marek Tarnowicz

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki jest możliwe tylko na podstawie pisemnej zgody autora.

Wydanie I

**ISBN: 978-83-66192-03-4**

*Dziękuję Panu Bogu*

*za wytrwałość*

*Dedykuję*

*sympatycznej koleżance Alinie*

Świst rozcinanego rzemieniem powietrza i zaraz po nim krótki okrzyk bólu zabrzmiały przeraźliwie i złowieszczo. Po nich kolejne dokładnie takie same dźwięki zagłuszyły niespokojne rzenie rumaka. Mężczyzna przywiązany do żurawia przy studni dostrzegł przez strumienie krwi zalewające mu oczy malutką dziewczynkę. Dziecko z przerażeniem patrzyło na to, co oprawcy robią z ojcem.

– Uciekaj, Sylwano – odczytała z ruchu warg katowanego rodzica.

Jeden z jeźdźców również dostrzegł dziewczynkę. Spiął konia ostrogami, ruszając w jej kierunku. Sześcioletka zawróciła i pobiegła w stronę lasu tuż za domem, z którego właśnie wyszła. Przestraszona, łapiąc z trudem powietrze, wpadła nieoczekiwanie na krzew jeżyny. Pokaleczyła sobie o ich kolce ręce i twarz. Nie zważając na to, ominęła je, trąc o nie ubranie. W końcu wbiegła pomiędzy pierwsze drzewa. Usłyszała za sobą przytłumiony stukot końskich kopyt. Przezornie skręciła w lewo, znikając z widoku jadącemu za nią zbirowi. Nadal biegnąc przed siebie ile sił, skręciła w gęstwinę, by po paru krokach zawrócić w stronę polany, na której stał jej rodzinny dom. Kątem oka zerknęła pomiędzy drzewa. Zobaczyła, jak jeden z bandziorów zakłada na cięciwę łuku strzałę i w zasadzie bez celowania wypuszcza ją w skatowanego mężczyznę. Jej ojca. Serduszko niemalże zamarło w maleńkiej piersi dziewczynki. Złapała spazmatycznie powietrze i wbiła wzrok w twarz. Twarz, której nie zapomni już nigdy. W tym czasie jeździec zawrócił wierzchowca i ruszył wzdłuż szpaleru drzew w kierunku, w którym pobiegła. Uważnie przyglądał się gęstym zaroślom, wypatrując w nich poruszenia. Sylwana zaskoczona widokiem na polanie przystanęła.

– Kocham cię, tato – szepnęła ze łzami spływającymi po policzkach.

Chwilę później poczuła, jak jakaś silna ręka chwyta ją tuż pod ramionami. Już miała krzyknąć, gdy nagle druga dłoń zakryła jej usta. Dziewczynka uniesiona przez wysoką postać zniknęła w czeluściach lasu. Z początku sparaliżowana tym, że została pochwycona, bezwładnie zwisała napastnikowi w rękach. Kiedy jednak zaskoczenie minęło, zaczęła się szarpać i kopać nogami po czyichś udach. Nie przyniosło to żadnego rezultatu. Dobrze i z wprawą trzymana, zrezygnowała w końcu z oporu. Przed oczami mignęły jej kolejne drzewa, aż nieoczekiwanie dotarło do niej ciche parsknięcie wierzchowca. Ten ktoś postawił ją na ziemi i odwrócił w swoją stronę. Mimo szoku dziewczynka pewnie stanęła na nogach.

– Teraz jesteś bezpieczna – dotarł do niej szept.

Kiedy tylko została puszczona, odskoczyła w bok. Zadarła do góry głowę, myśląc o ucieczce. Spod wystrzępionego kaptura spoglądały na nią przenikliwe oczy. Mimo to patrzyła w nie nieufnie.

– Nie musisz się mnie bać. Grunt, że jesteś bezpieczna.

Instynkt jej podpowiadał, że powinna w to wierzyć.

– Ale... mój ojciec... – wstrząsnął nią spazm płaczu.

– On już nie cierpi... a ty musisz być twarda – usłyszała wypowiedzianą spokojnym głosem radę. – Masz jakąś rodzinę?

- Rodzinę? Nie.
- Żadnych krewnych?
- Nie.
- Trudno. Odstawię cię do sierocińca przy świątyni – podjął decyzję mężczyzna.

Dziewczynka cały czas pochlipywała. Na słowo „sierociniec” podniosła głowę.

- Kim jesteś? – zapytała nieśmiało.
- Nikim szczególnym.
- Nieprawda. Pracujesz dla jakiegoś cechu – mówiąc to, wskazała na wykutą misternie srebrną blaszkę.

Lekki uśmiech ozdobił jego surową twarz.

- Spostrzegawcza jesteś – przyznał szczerze.
- To kim jesteś? – zapytała ponownie, ale już bardziej pewnie.
- Dla ciebie nie ma to żadnego znaczenia – odpowiedział wymijająco.
- Ma! Bo nosisz miecz i mogłeś uratować mojego tatę – wypaliła bez ogródek.
- „Takie małe dziecko, a wprawia mnie w zakłopotanie”, pomyślał mężczyzna.
- Mogłeś! Tak czy nie?!
- Niestety nie – przyznał z niechęcią.
- Nie?! Nie?! Dlaczego?!
- Dostyc pytań! Jedziemy. – Podeszedł do wierzchowca.
- Nigdzie nie jadę. – Tupnęła nogą.
- Ale masz tupet. Jeżeli zostaniesz tu sama, to zjedzą cię wilki – postraszył ją.
- Tu nie ma wilków – powiedziała zgodnie z prawdą. – Przecież tu mieszkam.
- Masz dwa wyjścia. Jedziesz ze mną... – zawiesił głos.

Czekała spokojnie na to, co powie dalej. Zapadła cisza. Mężczyzna zaczął poprawiać pas i niepostrzeżenie wyciągnął długi sztylet. Skierował ku niej rękę, jakby chciał coś powiedzieć. Błyskawicznie uniósł trzymającą sztylet dłoń i rzucił nim tuż obok dziecka. Z oddalonych o kilkanaście kroków krzewów wypadł uzbrojony zbir z ostrzem wbitym w gardło.

- Tym razem nie masz wyjścia – powiedział do niej, kiedy ją mijał.

Wyciągnął z trupa swoją własność i pospiesznie wrócił do konia. Wsiadł na niego, po czym spojrzał na dziewczynkę.

- Jak masz na imię? – zapytał nieoczekiwanie.
- Sylwana.
- Mamy bardzo mało czasu. Zaraz zaczną go szukać.
- Jadę. – Podbiegła do niego.

Sięgnął do niej ręką i wsadził na grzbiet koński przed samym siodłem. Ruszył stępem przed siebie. Po chwili odnalazł ścieżkę, którą znała. Uderzył wierzchowca obcasami i przyspieszyli do kłusa.

\*

- A ty jak masz na imię? – zapytała w końcu.
- Kers.
- Nie zostawiaj mnie w sierocińcu – poprosiła.
- A dlaczego?
- Bo nie chcę.

– To jest argument... A możesz podać inny?

– Potrafię gotować, sprzątać.

– Nieźle jak na twój wiek. Jest tylko jeden problem ... – Zamilkł, nasłuchując.

Zmysły podpowiadały mu o zagrożeniu. Skręcił w gęstwinę, zostawiając wyraźny trop.

– Potrafisz jeździć sama?

– Tato mnie nauczył – odpowiedziała.

– Świetnie. A jak sobie radzisz w lesie? Nie stracisz orientacji? – Szukał wzrokiem odpowiedniego do swoich celów drzewa.

– Nie stracę.

Skierował konia w bok, gdzie takie roso. Przejechał przez niskie krzewy, stając niczym akrobata na końskim zadzie.

– Co robisz? – zapytała zaskoczona.

– Pojedziesz jeszcze trochę prosto, a później zatrzymasz wierzchowca. – Przesadził ją na siodło. – Trzymaj wodze.

Wjechali dokładnie tam, gdzie chciał. Gdy byli już pod drzewem, odbił się mocno, skacząc do góry. Złapał rękami za gałąź i wszedł wyżej. Dziewczynka – tak jak polecił – bez zatrzymywania pojechała dalej. Przyczajony wśród listowia czekał na tego, który jechał za nimi. Wreszcie usłyszał szelest krzewów i dostrzegł sylwetkę Tropicielea na koniu. Mężczyzna zamiast na ziemię patrzył uważnie przed siebie, a także na boki. Wyraźny ślad w ogóle go nie interesował, toteż wjechał prosto w pułapkę. Co prawda w ostatniej chwili spojrział do góry, lecz na zrobienie uniku było zbyt późno. Łowca cicho niczym atakujący wąż zeskoczył mu tuż za plecami, uderzając jednocześnie w tył głowy. Tamten nie miał żadnych szans. Kers, zeskakując z konia, pociągnął za sobą nieprzytomnego. Wierzchowiec parsknął niespokojnie, po czym stanął dęba. Mężczyzna puścił więc Tropicielea, doskakując do niego. Pochwycił za wodze i szarpnął nimi lekko w dół. Potem poklepał konia uspokajająco po szyi. Zwierzę zarżało cicho, po czym obróciło ku niemu łeb. Klepnął go jeszcze raz, puszczać rzemień. Powrócił do leżącego, by lepiej mu się przyjrzeć. Coś mu zaświtało w głowie. Dotknął jego koszuli. Poczul delikatne ciepło i wibrację. „Smoczy Kiel”, przemknęło mu przez myśl. A więc nie był to zwyczajny Tropiciel. Ren zu Khan wynajął kastę morderców, o których powszechnie było wiadomo, że zostali wytępieni kilka wieków temu. „Czyżby aż tak bardzo bał się tego człowieka...”, pomyślał. Wyjął z malej sakiewki fiolkę z fosforyzującym płynem. Rozchylił usta nieprzytomnemu i wlał do nich kilka kropli substancji. Pod wpływem śliny wszystko uległo rozpuszczeniu.

– Zanim dojdiesz do siebie, zapomnisz, co cię spotkało. – Klepnął go w policzek.

Zostawił wszystko i poszedł pośpiesznie śladami swojego konia.

– Jesteś wreszcie – zaszczebiotała dziewczynka. – Po co wchodziłeś na drzewo?

– Zobaczyć, co się dzieje w okolicy – skłamał gładko.

– Widziałeś mojego ojca?

– Nie. Twój dom pewnie już płonie – oznajmił.

– Skąd wiesz? Przecież nie widziałeś, bo za daleko...

– Dlatego powiedziałem, że pewnie. Przesiądź się przed siodło – polecił.

Zrobiła to bez słowa. Mężczyzna wsiadł na wierzchowca. Zanim ruszyli, już wiedział, co robi. Pojechali dokładnie w przeciwną stronę.

– Dokąd mnie wiesz? Zrezygnowałeś z sierocińca? – Nie mogła uwierzyć.

- Chwilowo tak.
- A dokąd jedziemy? – zapytała ponownie.
- Zobaczysz. Pamiętasz swoją mamę?
- Nie.
- W ogóle?
- Tato mówił, że umarła przy porodzie.
- Aha. Gdzie mieszkałaś wcześniej?
- A dlaczego pytasz?
- Mogę cię zawieźć do krewnych – tu również skłamał.
- Pamiętam jedynie jak przez mgłę... długie korytarze. Jakies wysokie mury.
- Rozumiem. – Skojarzył to z siedzibą Ren zu Khana.

„Czyli informacje były prawdziwe? Teraz należy jedynie... bagatela, ustalić, dlaczego uciekł stamtąd z dzieckiem. Ciekawe”, pomyślał.

\*

Jechali resztę dnia, aż do późnego wieczora. Dopiero wówczas trafili na przydrożną gospodę. Postanowił zostać w niej do rana. Skoro świt ruszyli dalej. Koło południa dotarli do podnóża niewielkiego łańcucha niskich gór. Pomiędzy szczytami widać było budowlę. Ruszył wzdłuż stromej, niemal pionowej ściany w kierunku zachodnim. Odnalazł przejście – pionowe pęknięcie w skale z wąską ścieżką. Ponieważ słońce stało w zenicie, było jeszcze w miarę jasno.

- Co to za miejsce? – zapytała Sylwana.
- Coś w rodzaju świątyni i Strażnicy jednocześnie.
- A jednak chcesz...
- Nie. Tutaj... zresztą zobaczysz. – Uśmiechnął się do swoich myśli.
- A co zobaczę?
- Jeszcze trochę cierpliwości. Jak będziemy na miejscu, wszystko będzie jasne.

Dobrze?

- A mam inne wyjście? Niech będzie. – Wzruszyła ramionami.

W pewnym momencie trafili na jeszcze jedno pęknięcie. Kers bez namysłu w nie skręcił. Po chwili wjechali do sporej jaskini. Stały tam dwa żłoby – jeden długi z sianem, a drugi z ziarnem. Obok cichutko szemrało źródelko, którego woda wpływała w wyżłobienie w ścianie.

- Myślałam, że pojedziemy...
- Nie. Już jesteśmy na miejscu. – Pomógł jej zsiąść.
- Ciemno trochę.
- Boisz się ciemności? – Zdjął z konia siodło.
- Nie. Ale... jest tak jakoś... nieswojo – przyznała.
- Może. Nie zwracam na to uwagi.
- Kers – zadudnił jakiś głos niczym z głębokiej studni, przerywając im rozmowę.
- Tak, to ja.
- Kogo przywiozłeś?
- Młodą damę. – Przywiązał konia do długiego sznura.
- Wchodźcie.

Głuchy odgłos stuknięcia o skałę sprawił, że dziewczynka podskoczyła.



– Daj mi rękę – poprosił ją.

Podawała. Przeszli przez całą długość jaskini. Pod nogami stuknęło coś drewnianego.

– Dobra – powiedział Łowca w powietrze.

Nieoczekiwanie dla Sylwany szarpnęło nimi do góry. Dziewczynka przywarła do niego zaskoczona.

– Co to takiego? – zapytała z lękiem w głosie.

– To jest wciąż. Zabierają nas tym na górę – wyjaśnił.

Upłynęło trochę czasu, nim coś, co okazało się drewnianą klatką bez jednego boku, wyjechało na światło słoneczne. Przed sobą zobaczyli wykutą w skale poziomą platformę, zakończoną schodami prowadzącymi jeszcze wyżej. Poszli nimi, mijając olbrzymią belkę ze zwisającą z niej liną przytwierdzoną do klatki. Wyszli na plac otoczony kamiennym murem z blankami. Przez umysł dziewczynki przemknął w krótkim błysku jakiś obraz i zniknął. Przystanęła, aby go sobie przypomnieć.

– Nie bój się. – Mężczyzna pociągnął ją lekko za rękę, ponieważ tak to zinterpretował.

– Co? To nie to – powiedziała z przekonaniem.

Gdzieś z boku doleciały do nich dźwięki uderzających o siebie kling mieczy.

– A gdzie są domy? – zapytała zaciekawiona.

– Ludzie mieszkają w wykutych pod nami salach.

– Jak nietoperze – zachichotała.

– Nie do końca.

Na plac wyszły dwie osoby i zaczęły ze sobą walczyć. Melodyjny brzęk stali zalał otoczenie. Od wypolerowanych kling odbijało się od czasu do czasu światło promieni słonecznych. Rytmiczne i szybko zadawane ciosy fascynowały precyzją, a także finezją.

– Chcę tu zostać – powiedziała niespodziewanie.

– Tak? Dlaczego?

– Tato... Dlaczego nam nie pomogłeś? – Spojrzała na niego z żalem.

– Nie mogłem. Zabroniono mi się do tego mieszać – odpowiedział szczerze.

– Zrobił to jakiś okrutny człowiek. – Nie wiadomo, kogo miała na myśli.

Westchnęła smutno. Pominął zarzut milczeniem.

– To dlaczego chcesz tu zostać? – powtórzył pytanie.

– Tato zaczął mnie uczyć walki na miecze... Miałam nawet odpowiedni, ale został... –

Łzy napłynęły jej do oczu.

– Co jeszcze potrafisz?

– Znam się na statkach... żaglach, olinowaniu. Tato mi rysował i tłumaczył – wyjaśniła.

– Mówił, dlaczego to robi?

– Nie.

– Aha. Jeżeli chcesz zostać i popatrzeć na trening, to proszę bardzo. Ja muszę zejść do... no nieważne – zaproponował.

– Mają dziwne miecze – zwróciła uwagę.

– Nasza broń pochodzi przeważnie z Dalekiego Południa oraz innych rejonów.

\*

– Czy ja wysłałem stare babcie! – wrzasnął Ren zu Khan.

Jego ludzie, a także Saravardzki Tropiciele milczeli, przyjmując połąjanki.

– Wiecie, ile zabiegów kosztowało mnie jego wytropienie. Ile straciliśmy... Nie wspomnę o złocie! – Uderzył pięścią w stół.

– Ktoś jej musiał pomóc.

– Co to za tłumaczenie... Ktoś jej pomógł. – Spojrzał na Saravardczyka.

Mężczyzna rozłożył ręce w geście bezradności.

– On nic nie pamięta – odpowiedział dowódca grupy wysłanej w teren.

– Dlaczego? Co to ma znaczyć?

– Ktoś mu dał wyciąg z ciernistego ostrokrzewu.

– Co?

– Tak twierdzi.

– Interesujące. – Pirat oparł brodę na ręce. – I nic nie znaleźliście?

– Nic.

– Nie miał żadnego tatuażu?

– Nie.

– Jedźcie tam jeszcze raz. Trzeba przeszukać okolicę i to, co zostało z domu.

– Ale...

Ren zu Khan spojrzał na niego spod brwi.

– Będzie jak każesz.

– Sprawdźcie wszystkie ślady. Muszę mieć tego dzieciaka. Ona jest kluczem.

– Będziemy szukać, aż znajdziemy.

– Ciernisty ostrokrzew. – Spojrzał na nich wątpięco.

– Powiedział, że takie ma objawy.

– Jedźcie już. Jakby mnie nie było po waszym powrocie... chociaż wątpię, to wyślij ptaka do Zridranu.

– Tak zrobię.

Obaj mężczyźni wyszli, a on założył ręce za głowę, zamierając w bezruchu. Myślał nad czymś dłuższy czas, aż w końcu wstał. Z wnętrki przysłoniętej kotarą do pokoju przeszła postać ubrana w czarny, skórzany strój. Założyła ręce na piersi i skinęła w jego kierunku głową.

– Ruszamy – powiedział do niej krótko pirat.

Postać ponownie kiwnęła głową, po czym opuściła pomieszczenie. Pirat wyjął z szuflady sakiewkę, następnie rozwiązał ją i potrząsnął nią lekko. Wnet zastukały o siebie drogocenne kamienie. Mężczyzna ściągnął rzemyk i schował go za szeroki pas. Po chwili zdjął ze ściany stosowny do swojego wzrostu rapier i przypiął go do pasa. Za oknem zarżały konie. Wyszedł, planując podróż. Wiedział, że czekają go trudy, a spotkanie będzie wymagać poświęcenia. Spojrzał przy tym przelotnie na swoją dłoń. Brakowało w niej dwóch palców. Stanął w drzwiach. Na placu czekało czterech wojowników Kalee z tak zakrytymi twarzami, że było widać jedynie ich oczy. Mimo drobnej postury emanowała z nich pewność i siła. Wyglądali ponuro, lecz byli wyjątkowo niebezpieczni. Jedynie Łowcy dorównywali im umiejętnościami. Niektóre plotki głosiły o ukrytych pod tymi ubraniami kobietach, ale on nigdy nie miał okazji poznać prawdy. Wsiadł na swojego wierzchowca, po czym ruszyli. Ze względu na zbyt wielu wrogów z niezbyt odległej przeszłości jechał w środku pomiędzy nimi. Po wielu godzinach jazdy przyszła pora na pierwszy postój. Zaledwie zsiadli, dwóch z eskorty zniknęło wśród drzew. Dwaj pozostali zjedli razem z nim posiłek, zanim tamci powrócili z

tajemniczego wypadu. Później nastąpiła zmiana. Dwóch będących do tej pory z nim weszło w las. On zaś siedział, dumając nad nieudanym przedsięwzięciem. Wiedział, że jeden z Łowców był w pobliżu domu. Nie miał jednak na to dowodów – poza amnezją Tropicielea oraz śmiercią jednego ze swoich ludzi. „Tylko gdzie ją zabrał? Do jednej z niedostępnych świątyń, będących zarazem ich szkołami?”, zastanawiał się. Aby to sprawdzić, musiałby tam ktoś wejść, a oni na to nie pozwolą bez względu na sytuację, dobrze o tym wiedział. Poza tym nie miał pojęcia, o którą z nich może chodzić. „Może po spotkaniu coś z tego wyniknie”, pomyślał. Niespodziewanie wstał i kiwnął na jednego z wojowników. Ten podszedł do niego bezszelestnie.

– Sprawdźcie szlak za nami, jak ruszymy.

Wojownik potwierdził skinieniem głowy. Dwóch zostawiło konie i zniknęło w gęstwinie pośród drzew. Tuż obok niego, niemalże jak spod ziemi, wyłonili się pozostali. Czekali na polecenia.

– Jedziemy. Zabierzcie ich konie – przekazał samym ruchem warg.

Zrozumieli. Sprawdzili, czy coś nie zostało, po czym zdjęli pęta zwierzętom, podprowadzając mu jego wierzchowca. Wsiedli na nie i ruszyli przed siebie w dotychczasowym kierunku. Jechali dłuższy czas, aż w końcu przystanęli. Poleciał im sprawdzenie otoczenia. Nie znaleźli w pobliżu nic niepokojącego. Obserwujący ich na poprzednim popasie Łowca od razu zrozumiał ich zamiary. Wszedł więc głęboko w las, zacierając za sobą ślady. Robił to dokładnie i metodycznie. Kiedy był już daleko od drogi, wyprzedził wszystkich, jadąc równoległe do szlaku. Po bardzo długim czasie wreszcie zjechał na trakt. Przywiązał wodze do gałęzi, a sam ostrożnie spenetrował obie strony drogi wraz z nią samą. Nie odnalazł niczego, co by wskazywało, że pirat tędy przejeżdżał. W drodze powrotnej zdecydował o powrocie do miasta. Nie było sensu go szukać. I tak wiedział, dokąd pojechał w tym pośpiechu.

\*

Podróż Ren zu Khana trwała niemalże dwa dni. Aby jak najszybciej osiągnąć cel, jechali dzień i noc. W końcu stanęli na skraju tropikalnego lasu. Niewidocznym dla większości ludzi szlakiem podążali do jego centrum. Wycinając sobie drogę pomiędzy wiekowymi drzewami, stanęli na granicy zarośniętych roślinami ruin. Te były jeszcze starsze niż wszystko, co rosło lub leżało powalone tropikalnymi huraganami. Z głębi dotarł do nich ryk jakiegoś zwierzęcia. Świergot ptaków momentalnie ucichł. Nagle zapadła niesamowita cisza. Wojownicy położyli ręce na rękojeściach mieczy. Każdy z nich patrzył w innym kierunku. Pirat nie zwrócił na to uwagi. Zaszleściły potrącone liście. Pomiedzy pniami przemknął jakiś kształt. Trwało to mgnienie oka. Po krótkiej chwili podobna sytuacja miała miejsce z drugiej strony. Przybysze nadal stali w bezruchu, wpatrzeni w gęstwinę. Nie wiadomo skąd pojawił się przed nimi prawie nagi człowiek. Patrzył na nich bez słowa. Ponieważ Ren zu Khan nie był tu pierwszy raz, opuścił swoje bezpieczne miejsce pomiędzy wojownikami Kalee i podszedł do niewysokiego mężczyzny. Ten z obojętnym wyrazem twarzy zrobił obrót, po czym zagłębił się w las. Pirat szedł krok w krok tuż za nim. Miał świadomość, że zboczenie ze ścieżki oznaczało nagłą śmierć. Kluczyli w ruinach dłuższy czas. W końcu natrafili na wysoki mur. Przewodnik poprowadził go wzdłuż niego, aż stanęli przed schodami. Pierwszy stopień sięgał mu do połowy uda. Pozostałe – równie wysokie, spiętrzone nad nimi – sięgały czubków drzew. Zaczął nimi mozolnie wchodzić na górę. Na

szczytce spojrział w bok. Z obu stron nie zobaczył nic poza murem. Przed sobą w dole miał gładkie ściany odwróconej piramidy. Jej boki schodziły się głęboko w czeluściach ziemi. Tuż pod nogami miał dokładnie te same schody, prowadzące tym razem w dół. Zaczął schodzić. W końcu ogarnął go cień, przechodzący stopniowo w mrok. W połowie drogi był już odrobinę zmęczony. „Ci, którzy to budowali, nie mieli takich trudności”, pomyślał, szukając po omacku krawędzi stopnia. Po długim czasie stanął zmęczony na dole budowli. Miał przed sobą szorstki kamień. Odnalazł dłońmi ozdobione ornamentami wejście. Tam znajdowały się kolejne schody. Zaczął nimi schodzić jeszcze głębiej w czeluść planety. W oddali błysnęła złota iskierka. Podążał w jej kierunku, aż stanął w kamiennym przedsionku. Tu już było jaśniej od ognia płonącego w złotych misach.

– To znowu ty – usłyszał dudniący echem głos. – Podejź!

Wszedł pomiędzy wielkie czary z ogniem, symbolizujące żywioły. Stanął przed czarownikiem w trudnym do określenia wieku, ubranym w długą szatę.

– Uparty jesteś. Nie pomyślałeś, że to, co chcesz zdobyć, może nie być przeznaczone dla ciebie? – zapytał.

Zamiast odpowiedzi przybysz wysypał na blat bazaltowego stołu drogie kamienie.

– Twój wybór – mruknął czarownik. – Chodź ze mną.

Zostawili bez opieki ten mały majątek, wchodząc przez otwór w kształcie ust w głąb podziemnej budowli. Dotarli do miejsca, gdzie stało coś, co przypominało olbrzymi tron. Był otoczony kryształami i skąpany w wydzielanym przez nie świetle.

– Usiądź – usłyszał zaproszenie.

Zrobił to. Mężczyzna odszedł gdzieś poza obręb światła, a Ren zu Khana ogarnęło dziwne uczucie. Stracił poczucie czasu.

– Wypij – usłyszał jak przez mgłę.

Sięgnął niepewnie ręką przed siebie.

– Skup się! – usłyszał ostry głos.

Jakoś zapanował nad rozkojarzonym umysłem. Ostatecznie wziął do ręki podane naczynie.

– Pij.

Wypił.

– Weź nóż – kolejne polecenie.

Posłusznie wziął do ręki rytualny przedmiot.

– Jak będziesz gotów, to wiesz, co masz robić – stwierdził głos jak z zaświatów.

Nie odpowiedział, bowiem pod wpływem narkotycznego płynu zaczynał tracić kontakt z rzeczywistością. Zaczynał słyszeć głosy. Rozpraszały go. Zaczął skupiać umysł na jednej tylko myśli. Miał z tym spore trudności. Położył lewą rękę na płaskiej poręczy siedziska, wciąż myśląc o dziewczynce, której szukał. Zebrał się w sobie i połączył w jedno myśl oraz czarną plamę przed oczami. Pewnym ruchem przyłożył ostrze noża do jednego z pozostałych palców i z całych sił nacisnął. Potężny paroksyzm bólu poraził wszystkie jego zmysły. W umyśle zobaczył błysk silnego światła, a zaraz po nim następujące po sobie obrazy. Poszukiwaną Sylwanę, a także miejsce, w którym obecnie przebywała i jeszcze kilka innych. W jednym z nich dorosła dziewczyna trzymała ostrze miecza na jego gardle. Wszystko zniknęło równie szybko, jak się pojawiło. Spocony, na granicy paniki opadł z sił, po czym osunął się na twardą kamienną podłogę.